Rok 1937 28 lutego Nr 9

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Or-ot.

Dzwonnik Kacper Dławiduda

I.

Przy kościele na Kanonii,
W kamienicy wielce starej,
Ma izdebkę Dławiduda,
Co dzwonnikiem jest u Fary.

I szeroko i daleko
Słynie postać Dławidudy:
Jest wysoki na trzy łokcie,
Ale zato jak śmierć chudy.

Oczy wpadłe ma głęboko,
Lica żółte, jakby z wosku.
„Po księdzowsku" on się strzyże,
Oraz goli „po księdzowsku".

Nigdy wzrok się nie rozchmurzy.
Nigdy z czoła mars nie znika —
Ma powagę Dławiduda,
Jak przystało na dzwonnika..

II.

Nie od dzisiaj, nie od wczoraj
Zna katedrę Kacper stary —
Już dzieciakiem pięcioletnim
Szeptal pacierz w kruchcie Fary.

Na ten urząd tak zaszczytny
Nie sprowadził go przypadek —
Jego ojciec był dzwonnikiem,
Był dzwonnikiem jego dziadek.

Swoją godność dobrze czuje,
Swą powagę on ochrania —
Zacny Kacper Dławiduda
Jest dzwonnikiem z powołania.

Ceni dziada Stare Miasto,
I szacunek ma on wszędzie,
Bo drugiego Dławidudy
I nie było i nie będzie...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Or-ot. Autor tego wiersza Or-ot, którego właściwe nazwisko brzmi Artur Oppman — to poeta Warszawy, a przede wszystkim Warszawy starej, którą znał doskonale i ukochał serdecznie. Nie obcym mu był żaden zaułek w dawnych dzielnicach naszej stolicy — owe „Szerokie i Wąskie Dunaje", owe „Kamienne Schodki", „Bugaje", owe ciemne uliczki Starego Miasta, spadające ku Wiśle, owe kościoły, których dźwięk dzwonów płynął daleko wraz z falą wiślaną. Znaną mu była doskonale dawna ludność starej Warszawy, owi mieszczanie, dumni, że z ich grona wyszedł swego czasu Jan Kiliński, najsławniejszy chyba z wszystkich szewców na świecie. Bliskimi byli Or-otowi różni owi Dławidudy, Onufrewie, Mateusze i im podobne figury, jakich już nie znaleźć w dzisiejszej Warszawie. Or-ot żył pod koniec wieku naszej niewoli (umarł w 1931 r.). W chwili, gdyśmy odzyskali niepodległość, postanowił mimo późnego wieku zaciągnąć się do świeżo powstałego wojska polskiego, gdzie w randze pułkownika pracował aż do śmierci, szczęśliwy, że marzenie jego o polskim żołnierzu stało się rzeczywistością.

—

Co potrafi „ojciec wszystkich wód"

(Dokończenie)

Przypomniawszy sobie tę klęskę, będziemy mogli łatwiej wyobrazić sobie potworne zniszczenie, jakie wywołała w ostatnim czasie powódź amerykańska. Sprawił ją potężny Missisipi, który, wraz ze swoim przedłużeniem Missuri, uchodzi za najdłuższą rzekę w świecie i dlatego zapewne nazwany jest „ojcem wszystkich wód".

Aby mieć chociaż słabe pojęcie o obfitości jego wód, wystarczy powiedzieć, że w zwykłym czasie wlewa on do zatoki Meksykańskiej, do której uchodzi, prawie dwadzieścia tysięcy metrów sześciennych wody w ciągu jednej sekundy! Jest to 9 razy więcej, niż wspaniała, słynna w całym świecie rzeka francuska Ren. W ciągu roku zaś niesie Missisipi około 400 milionów ton (tonna = 1000 kilogramów, a jako miara objętości wynosi około półtora metra sześciennego) mułu, wydłużając przez to corocznie trójkątne ujście rzeki o 1000 metrów.

Dorzecze tej rzeki (dorzeczem nazywamy obszar, z którego wszystkie wody spływają do rzeki głównej) wynosi ⅓ część całej powierzchni Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a wraz ze swymi 40 większymi dopływami, stanowi Missisipi największą w świecie śródlądową drogę wodna dla żeglugi, wynosi bowiem 25.000 km.

Woda w dorzeczu Missisipi podnosi się i opada, zależnie od pór roku. Najmniej wody bywa wczesną wiosną i późną jesienią, najwięcej zaś od połowy stycznia do początków marca, kiedy to ciepłe wiatry z zatoki Meksykańskiej sprowadzają liczne deszcze i sprawiają szybkie tajanie śniegów.

W czasach dawniejszych, kiedy nie było tam miast, nic nie przeszkadzało Missisipi rozlewać się po nieprzejrzanych przestrzeniach lądu amerykańskiego; z chwilą jednak, gdy powstały ogromne osady ludzkie, jak np. w r. 1723 miasto Nowy Orlean, zaczęto dla ochrony stawiać wały i tamy przeciwpowodziowe, które już w 100 lat później osiągnęły długość trzech tysięcy kilometrów. Wszystko to jednak okazało się nie wystarczające przeciwko żywiołowej potędze „ojca wszystkich wód". Zerwał krępujące go pęta i w r. 1924 spowodował straszliwą powódź, która zalała przestrzeń 73.000 km. kwadr., zniszczyła domy 600.000 ludzi i wyrządziła szkody na 300 milionów dolarów.

Podwyższono mu tedy o 17 metrów dawne zapory, spodziewając się, że takich już pokonać nie potrafi. I oto wszystko na nic. Teraz w styczniu, potworne fale powodzi zniosły wały i tamy, zamieniając całe przestrzenie kraju w nieprzejrzane rozlewiska wód. Milion ludzi został pozbawiony dachu i w ogóle możności życia, setki nieszczęsnych pochłonęły głębie, a nowe setki milionów dolarów, wydanych dla zapobieżenia klęsce, poszły na marne.

Rozgniewany „ojciec wód" nie chce się dać niczym ujarzmić i raz za razem zsyła bezlitosne klęski na nieszczęsną ludność Ameryki Północnej.

Jaką lekcję dały lekkomyślnym szoferom dzieci angielskie

Nie ma prawie dnia, aby gazety nie doniosły o jakiejś katastrofie, czy to na ulicach miast, czy też na drogach i gościńcach z powodu nieuwagi woźniców lub przechodniów. Mało kto bowiem przestrzega przepisów, jakie dotyczą ruchu pieszego i kołowego, i wielu chodzi sobie i jeździ według własnej woli i kaprysu. Najczęstsze i najstraszliwsze bywają wypadki samochodowe, a przyczyna ich prawie zawsze leży po stronie tych, którzy używają nie tej strony drogi, jakiej należy.

U nas w Polsce obowiązuje wszędzie i zawsze używanie strony prawej tego kierunku, ku któremu się idzie, czy je-

dzie. Gdyby wszyscy tego przestrzegali, nigdyby nie wpadł jeden na drugiego i nie zawalałby swoim pojazdem drogi.

Szczególnie koniecznym stało się przestrzeganie tego nakazu od czasu, gdy rozpowszechnił się ruch samochodowy. Automobil przecież to maszyna, która — jak w ogóle każda maszyna wynaleziona została na to, aby pracę swoją wykonywała w jak najkrótszym czasie. Jeżeli więc kto używa samochodu, nie, jak dawniej konia, osła, czy nawet wołu, to dlatego, że mu zależy przede wszystkim na pośpiechu.

i może przecież ustaną owe straszne katastrofy automobilowe, które już tyle pociągnęły ofiar śmiertelnych.

W niektórych krajach, mimo, że bardzo surowo obowiązują przepisy jazdy, jeszcze niekiedy zdarzy się ich przekroczenie. Winnych spotyka wtedy ostra kara. Rzadko jednak zajdzie wypadek taki, jaki przedstawia nasza rycina.

Oto dzieci w jednej z dzielnic Londynu, chcąc ukarać szoferów za ich nieopatrzną jazdę, nie czekają, aż policjant kierujący ruchem w odpowiedniej chwili zatrzyma wszystkie pojazdy, by publiczność mogła przejść swobodnie na drugą stronę, — lecz całą gromadą przechodzą sobie przez jezdnię.



Chwila przechodzenia dzieci przez jezdnię. W głębi samochody, które muszą czekać „za karę", aż droga będzie wolna.

Oczywiście spacer ten odbywa się w miejscu przepisowym, jakich wiele wyznaczonych jest po wielkich miastach, właśnie w tych miejscach, gdzie najłatwiej mogłoby się zdarzyć nieszczęście. Nie wolno tam bowiem, jak dotąd u nas w całej Polsce, z wyjątkiem Warszawy, przekraczać jezdni w każdym miejscu i w każdym kierunku, lecz tylko tam, gdzie jest oznaczono i tylko po linii najkrótszej, a więc prostej, a nie ukośnej.

Dawno już minęły te czasy, kiedy to nawet królowie musieli całymi miesiącami tłuc się w podróży z jednego krańca kraju na drugi, używając do tego koni rozstawnych i mnóstwa zajazdów dla popasu i odpoczynku. Dzisiejszym czasom i dzisiejszym ludziom nawet jazda koleją żelazną wydaje się za powolną i dlatego wielu podróżujących używa prędszego samochodu i jeszcze szybszego samolotu.

Aby nauczyć i zmusić ludność do przestrzegania prawideł ruchu, powstaje w Polsce policja drogowa na gościńcach zamiejscowych. Ona będzie czuwała nad tym, jak i którędy kto jedzie,

Prawdopodobnie po tej lekcji dziecinnej policja londyńska obecnie już będzie miała o wiele mniej kłopotu z lekceważącymi przepisy szoferami i tylko wdzięczną będzie dzieciom za wyręczenie jej w uciążliwej pracy nad przestrzeganiem bezpieczeństwa publicznego.

Z przechadzek po „Zoo"

Za największych wrogów zwierząt uważa się zwykle dzieci. Takie — niestety — smutne wyobrażenie wyrobili owi różni okrutnicy, dla których ptaki żyją tylko na to, by można wybierać im z gniazd malutkie pisklęta, tłuc jajka, a stare uśmiercać lub sprzedawać. Koty służą takim niedobrym chłopcom do bezlitosnej zabawy, w czasie której biedne zwierzęta giną w męce, paląc się żywcem. Nawet psy, ci najwierniejsi przyjaciele człowieka, oddający mu wiele usług, rzadko kiedy znajdują u takich chłopców łaskę dobrego obchodzenia się. Najczęściej obdarzane są kijem lub kamieniem.

Mimo to jednak, nie można tak źle myśleć o wszystkich i nawet zupełnie przeciwnie wyrażają się o nich ci, którzy mają sposobność obserwowania dzieci w ich wędrówkach po zwierzyńcach, czyli ogrodach zoologicznych, zwanych też krótko „Zoo". Są to właśnie miejsca najchętniej odwiedzane przez dzieci, zarówno latem, jak zimą i tam zacieśniają się zwykle węzły wzajemnej przyjaźni, bo i zwierzęta, czując w małych osobach swoich przyjaciół, darzą je zaufaniem i przywiązaniem.

Żadne podręczniki szkolne, żadne obrazki ni fotografie, ani muzea z wypchanymi zwierzętami, nie dadzą nigdy takiego pojęcia, jak zobaczenie żywego stworzenia w jego naturalnych ruchach, obyczajach i zwyczajach. To też zwierzyńce są nieocenioną szkołą dla wszystkich, których ciekawi świat zwierzęcy, a w szczególności dla dzieci i młodzieży, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy robi się wszelkie starania, aby — o ile to możliwe — dać zwierzętom ich naturalne warunki życia. Oczywiście nie wszystkim, bo przecież trudno trzymać krwiożerczego lwa, czy tygrysa nie w klatce, albo nie odgrodzić niebezpiecznego zawsze niedźwiedzia od oglądającej go publiczności. Najlepiej zatem w zwierzyńcach dzieje się tym zwierzętom, które skutkiem łagodnej natury, mogą używać dużo swobody.

Ponieważ większość Czytelników „Dzwoneczka" nie była nigdy w takich wielkomiejskich „zoach" i nie wiadomo, czy będzie miała sposobność je kiedy oglądać, przeto chętnie pewnie posłucha o cudzych odwiedzinach ogrodu zoologicznego w Warszawie, która naprawdę może się pochlubić wspaniałą już „menażerią".

Pewien gość trafił tam właśnie na chwilę, gdy co dopiero przyjechała do nieznanego sobie kraju nowa małpa z rodu szympansów. Umieszczono ją odrazu w klatce. Nieufnie i z trwogą spoglądała z początku biedna szympansica z poza krat swego więzienia. Nagle wydała osobliwy pisk, zaczęła śmiesznie podskakiwać i w ogóle okazywać niesłychaną radość. Tę niespodziewaną zmianę wywołał u zalęknionego zwierzęcia widok niesionych na śniadanie, a dobrze jej znanych bananów i pomarańcz. Łapczywie chwytała podawane jej kawałki owoców i zjadała szybko, delektując się nakoniec truskawkami, których w swojej ojczyźnie nie znała. Radość jej przypominała zachwyt dziecka, które niespodzianie zostaje obdarzone łakociami.

Po jakim takim oswojeniu włączono małpę do towarzystwa oddawna już zamieszkujących warszawskie „Zoo" szympansów: Lusi i Leonka i z pewnością nadano jej jakieś imię, na którego dźwięk będzie odtąd czujnie zwracać uwagę. (C. d. n.).